



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

ARCHITEKTURA.

Nie tylko człowiek budownictwo uprawia; mnóstwo zwierząt urządza sobie mieszkania, a najrozmaitszych do tego używając sposobów. Ptaki budują kunsztowne gniazda, przemysłne owady zadziwiające nieraz wykonywają roboty, różne zwierzęta, większe i mniejsze, grzebią sobie nory podziemne, któż wreszcie nie zasłyszał o bobrach, sławnych budowniczych świata zwierzęcego.

Ale zastanówmy się tylko, a odrazu spostrzeżemy ogromną różnicę pomiędzy tą robotą zwierząt i dziełem rozumnego człowieka. Zwierzę, kierując się instynktem, zaspoko-

kaja jedynie swoje potrzeby, swoją wygodę, nigdy więc nie zmienia w urządzeniu swoich budowli, które od wieków były także same, jak dziś. W architekturze ludzkiej przeciwnie uderza nas najpierw wielka różnorodność. Widzimy, że starożytne budynki, których szczątki się przechowały aż do naszych czasów, zupełnie inaczej wyglądały niż teraźniejsze. Nawet i jednocześnie, w jednym i tym samym mieście, stoją obok siebie wytworne pałace, skromne kamienice i niskie domki.



Pomniki z ~~człowieka~~ niepewnego.

Spostrzegamy także, iż budownictwo człowieka, czyli architektura, ma jeszcze inne cele, oprócz zaspokojenia potrzeb i zapewnienia wygod. Człowiek pragnie, ażeby dzieło jego było

piękne, ażeby widokiem swym sprawiało upodobanie i zadowolniało wrodzone mu poczucie smaku.

Nie dość na tém: człowiek, nieśmiertelnym duchem ożywiony, nietylko doczesne ma potrzeby; więc oprócz domów mieszkalnych, dla ochrony i wygody przeznaczonych, wszystkie narody, we wszystkich epokach, miały jeszcze świątynie, wznoszone na cześć bóstwa i nagrobki, poświęcone pamięci zmarłych. Pomniki te w różnych czasach i różnych krajach odmienną przybierały postać, stosownie do stopnia oświaty, do wyobrażeń i religii narodu. Dla tego z pozostałych zabytków starożytnej architektury można nawet, w braku dokładniejszych wiadomości i pisanych kronik, powziąć niejaki wyobrażenie o charakterze, pojęciach, obyczajach, wygasłych od dawna plemion. Słusznie też powiadają o takich odwiecznych pomnikach, że to są kamienne karty dziejów. Takich kart, to jest odwiecznych zwalisk, wykryto bardzo wiele w ostatnich czasach, odgrzebując je z pod ziemi i wiele też z tego powodu zmieniło się wyobrażeń o historii ludów starożytnych.

Zastanówmy się teraz, jakim sposobem się to dzieje. Człowiek nie może utworzyć z niczego; do wszystkich dzieł, które przemyśłem swoim wykonywa, potrzebuje on brać materiały z przyrody. I tak: przed rozpoczęciem budynku, gromadzi wprzód kamień, rąbie drzewo, wyrabia cegłę, przyrządza wapno; ale gdy ten materiał, pod umiejętną ręką przybierze kształt oznaczony, gdy nas zadziwi, zachwyci pięknością, okazałością swoją, wówczas śmiało powiedzieć możemy, że zdolny budowniczy to dzieło utworzył. Nie utworzył on go wprawdzie z niczego, ale w martwy ten kamień tchnął niejako cząstkę swojego ducha, można by powiedzieć, że go ożywił, bo mu nadał postać odrębną, którą wysnuł z własnej wyobraźni, a która w innych ludziach budzi uczucie upodobania, a nawet uwielbienia i zachwyty.

Ala na to potrzeba, ażeby dzieło to było rzeczywiście piękne, a wówczas nazywamy je dziełem sztuki. Przyjemne wrażenia tego rodzaju wywołuje w nas także piękny posąg

lub malowidło, piękna muzyka, która już nie na wzrok, lecz na słuch działa, wreszcie i poezya, gdyż posiada pewien muzykalny rytm i budzi w duszy rzewne lub wzniosłe uczucia. Wykonanie takich utworów nazywa się sztuką, a jeszcze dokładniej sztuką piękną, człowiek zaś, który tę zdolność posiada, artystą. Architektura, rzeźba i malarstwo, przemawiają do duszy za pośrednictwem wzroku, przez widome obrazy, dla odróżnienia więc od muzyki i poezyi, noszą nazwę sztuk obrazujących, albo plastycznych.

Rzeźbiarz lub malarz, nietylko materiał, ale i wzory do swoich utworów musi brać z przedmiotów, które widzi w otaczającym świecie; lecz artysta prawdziwy, chcąc dzieło sztuki wykonać, potrafi najpierw wybrać piękne wzory, a potem nigdy ich nie naśladuje niewolniczo. Gdy ma naprzykład przed oczyma postaci ludzi, zwierząt, roślin, które chce malować lub rzeźbić, wprzód je sobie przedstawia w myśli, w wyobraźni, nie tak, jak rzeczywiście wyglądają, ale jakby powinny wyglądać, gdyby były piękniejsze, doskonalsze. Usiłuje więc utworzyć sobie siłą własnego ducha taki wzór udoskonalony, który już nie jest rzeczywisty, tylko *idealny*, i ten wzór, ten swój *ideał*, stara się odmalować, wyrzeźbić. Nie każdy człowiek umie taki ideał wytworzyć w wyobraźni, nie każdy też potrafi nadać mu kształt widomy, to jest wykonać dzieło sztuki; ale każdy posiada wewnętrzne poczucie piękna, tak samo, jak poczucie dobra, bo też oba te pojęcia są do siebie bardzo zbliżone. To, co jest piękne, musi być zarazem i dobre, bo złe rzeczy nie mogą być piękne. Czujemy to wszyscy i nieraz o dobrym uczynku, który przecież nie ma żadnej widomej postaci, mówimy, że jest piękny. Piękno dostępne bywa tylko dla wyższych, szlachetniejszych naszych zmysłów, dla wzroku i słuchu. Powiemy więc: piękny obraz, muzyka piękna, ale nikt nie mówi o pięknym smaku, ani o pięknym zapachu, bo to byłoby niewłaściwie. Mówi się: przyjemny zapach, wyborny smak.

Artysta budowniczy nie ma właściwie żadnego wzoru w przyrodzie; on musi z wyobraźni wysnuć cały plan swojego dzieła

oznaczyć w myśli rozmiary jego i kształty, mimowoli też w ten utwór swojego ducha wlewa własne pojęcia i uczucia. Dzieło to będzie nosiło na sobie cechy prostoty lub wytworności, okazałości lub wdzięku, stosownie do usposobienia mistrza; a ponieważ ów mistrz, żyjąc wśród innych ludzi, musi w znacznej części podzielać ich przekonania i dążności, więc utwór sztuki, wykonany przez jednego człowieka, jest jednak w pewnej mierze odbiciem ducha całego społeczeństwa, jest obrazem czasu i narodu, wśród którego powstał, kamienną kartą jego dziejów.

Architektura u wszystkich narodów wcześniejszą się rozwijała od innych sztuk pięknych; i nie dziwnego, gdyż wynikała z potrzeby. Ludzie musieli zawsze szukać ochrony od zimna i niepogody; będąc jeszcze w stanie dzikim, ukrywali się zapewne w jaskiniach lub pod rozłożystymi konarami drzew, ale to nie mogło im wystarczyć. Pasterze, przesiadując przy trzodach, mogli łatwo wpaść na pomysł urządzania namiotów ze skór zwierzęcych, które rozpinali na tykach w ziemię wbitych. Nie wiele też na to potrzeba było dowcipu, ażeby spostrzedz, że podobne schronienia, zabezpieczone od wpływów zewnętrznych, można rozmaitemi sposobami urządzać. Pierwszy człowiek, któremu się udało ułożyć kamienie na kamieniach i wzniesć ścianę z trwałego muru, dokonał wielkiego kroku w sztuce budowniczey.

Od najdawniejszych także czasów ludzie mieli zwyczaj na pamiątkę ważnych wypadków stawiać pomniki z kamienia. W początkach zapewne służył do tego prosty jakiś głaz, wielki odłam skały, lub stos mniejszych kamieni, ustawiony na miejscu, które chciano upamiętnić. Podobnymi pomnikami oznaczano także groby, a wreszcie i ołtarze na cześć Stwórcy w dawnych czasach były wznoszone tym prostym sposobem, jak o tém znajdujemy wzmianki w Piśmie Świętym.

Wrodzone upodobanie ludzi do tego, co piękne, wspaniałe, prowadziło ich do doskonalenia téj pierwotnej sztuki budowniczey, która też w każdym kraju, stosownie do warunków miejscowych, odmiennie się rozwijała. Tam, gdzie była obfitość lasu, budowano

z drzewa, gdzie skały były pod ręką i łatwo było urządzić w nich łomy, wznoszono mury kamienne, a gdzie tych materiałów brakło, powstała sztuka wypalania cegły. Rozpatrując budowle różnych epok i różnych krajów, widzimy, że każdy naród na tych utworach sztuki wycisnął odrębne piętno swojego charakteru. Chcąc poznać dokładnie przeszłość ludzkiego rodu, uczeni starają się zbadać nie tylko dawne kroniki, ale i zabytki sztuki starożytnej i rzeczywiście nieraz im się udało tym sposobem ważne porobić odkrycia i zebrać wiele zajmujących wiadomości, przedtém zupełnie nieznanych. Widzimy więc, że dzieje sztuki niepospolite mają znaczenie w ogólnych dziejach ludzkości; sądzimy, że i młodzi czytelnicy zechcą się z niemi zapoznać i posłuchają z zajęciem naszych pogadanek.

I.

Zabytki budownictwa z czasów niepewnych.

Rycina nasza przedstawia okolicę nadmorską w prowincyi fraucuzkiej Bretanii, w bliskości małego miasteczka Karnaku, (Carnac). Widzicie tu osobliwsze pomniki sztuki budowniczey, o których tyle tylko wiemy, że pochodzą z czasów niezmiernie dawnych; ale kto je budował, jakie było ich przeznaczenie, o tém krążą tylko domysły i wnioski rozmaite, pewnego nie powiedzieć nie można. Są to wielkie słupy kamienne, grubo ociosane i wbite w ziemię cieńszym końcem. Ustawione długimi rzędami, zajmują przestrzeń kilku kilometrów; tysiąc kilkaset słupów przechowało się dotąd w całości, a musiało ich być daleko więcej, bo mnóstwo leży dokoła odłamów i gruzów. Lud bretoński w narzeczu swoim nadaje tym dziwnym pomnikom nazwę *men-hir*, czyli długi kamień, a z dawnych podań wiadomo, że w czasach przedchrześcijańskich kapłani, zwani druidami, odprawiali tam swoje pogańskie obrządki. W innych okolicach menhiry ustawione są w wielkie kręgi, otaczające olbrzymi *men-hir* po środku ustawiony. Lud to nazywa *crom-lech*. Słupy te niewątpliwie często kilkanaście metrów wysokości, widziano

nawet daleko wyższe, dochodzące dwudziestu kilku metrów. Jest także wiele innych pomników tegoż samego pochodzenia; dolmeny, co także w narzeczu bretońskim znaczą stoły kamienne, są to wielkie płyty, ustawione rzeczywiście nakszałt stołów na podstawie kilku głazów, czasem dwóch tylko. Taki dolmen najczęściej z jednej strony jest otwarty, jak pieczara; niekiedy znów budowa z kamieni i płyt przedłuża się i powstają ztąd długie, kryte galerye, które odrębną znów nazwę otrzymały, gdyż lud uważa je za schronienie wieszczek, (*grottes des fées*). Płyty zwierzchnie dolmenów mają czasem wydrążenia i wklęsłości, możnaby więc przypuszczać, że to były ołtarze, na których ofiary składano. Największe jest jednak prawdopodobieństwo, że służyły za grobowce, w wielu z nich bowiem znaleziono kości ludzkie i rozmaite przedmioty, jak broń krzemienną, garnki gliniane, myśliwskie przybory, złożone zapewne obok zwłok, według zabobonnego zwyczaju pogańskich ludów. W wielu miejscach odkopano dolmeny w głębi kurhanów, pagórków z ziemi usypanych, a ztąd wnoszą niektórzy, że wszystkie były niegdyś przykryte podobnemi kurhanami, które się z czasem rozsypały. Niektóre z tych pomników mają na sobie jakieś dziwaczne i niewyraźne rzeźby, koła, zygzaki, czasem rozpoznać można figurę węża, lub rysunek siekierki bez rękojeści.

Dziwniejsze jeszcze od dolmenów i menhirów są tak zwane wahające się kamienie, (*pierres branlantes*). Wyobraźcie sobie ciężki, ogromny głaz, z jednej strony śpiczasto ociosany i ustawiony tym końcem na drugim potężnym kamieniu, w taki sposób, że za najlżejszém dotknięciem, a nawet za wiatru powiewem zaczyna się poruszać, jak waha-dło, nie tracąc jednak równowagi i od niepamiętnych czasów się utrzymuje w tém samym położeniu.

Przytoczyliśmy tu nazwy francuzkie tych wszystkich dziwacznych budowli, dla tego, że są najpowszechniej znane i najczęściej używane w opisach, ale nie sądźcie, że owe menhiry i dolmeny tylko we Francyi się znajdują. Niezawodną jest rzeczą, że druidowie, kapłani dawnych ludów celtyckich,

od których pochodzili Gallowie, Bretonowie i niektóre inne plemiona europejskie, używali tych pomników do swoich religijnych obrzędów, ale niema żadnej pewności, ażeby one za ich czasów były budowane; mogą to być zabytki o wiele starożytniejsze. Tém bardziej przypuszczać to można, że podobne pomniki spotykają się nietylko w całej prawie Europie, ale i w Azji i w Afryce północnej, a wszędzie występują w niezmiernj ilości. Chociaż więc i dziś w niektórych ksiązkach nazywają te starożytne zabytki architekturą celtycką, nikt jednak już nie sądzi, ażeby je wszystkie budować mieli Celtowie, bo jeden naród nie mógł zajmować na ziemi tak znacznych obszarów.

A więc któż je budował w różnych stronach świata, w okolicach tak oddalonych od siebie? Kto ociosywał te słupy i ustawiał je w długie szeregi, lub olbrzymie kręgi, kto owe potężne głazy piętrzył jedno na drugich i usypywał kurhany? Na te pytania odpowiedzieć nie możemy, ale i najuczciśsi ludzie dotąd téj zagadki rozwiązać nie umieją. Najprostszą odpowiedzią byłoby zapewne przypuszczenie, że w dawnych czasach wszędzie i zawsze mniej więcej jednakowe były początki sztuki budowniczj u wszystkich ludzi. Najlepij jednak wszelkie przypuszczenia powstrzymać i poprzestać na uwadze, że starożytne ludy, wznoszące menhiry i dolmeny, cześć oddawały Najwyższj Istocie i wiedziały o nieśmiertelności duszy, gdyż owe pomniki, jak ze wszystkiego wnosić można, są to świątynie i groby.

W R Ó B E L E K.

Zimno, chłodno, ziarenek niema,
Śniegi, lody dookoła
„Jakaż ciężka, straszna zima!“
Tak ród ptasi w mrozy woła.

„Niema ziarna! trzeba rzucić
Miłe gniazdko, kraj rodzimy,
I gdzieindziej obcym nucić,
Nim znów z wiosną tu wrócimy.

Żegnaj, żegnaj, luby kraju,
 Żegnaj, domku nasz kwiecisty,
 Znów odwiedzim ciebie w Maju,
 Gdy rozkwitniesz nam cienisty.

Chyżo lecą ptaków stada,
 Lecą wszystkie w obce strony,
 Już ostatnia ich gromada
 Rzuca kraj swój opuszczony.

Lecz wróbelek, ptaszek szary,
 Tak ukochał kraj rodzinny,
 Że za biedne jego dary,
 Wznosi Bogu hymn dziękczynny.

I choć wzrokiem goni braci,
 Choć się smuci ich odlotem,
 Choć wie biedny, co w nich traci,
 Tęsknym żegna ich świegotem.

Lecz nie waha się ptaszyna,
 Pozostaje mężna, stała,
 Twarde życie rozpoczyna,
 By nam przykład z siebie dała.

Ty, ptaszyno, szarem pierzem
 Nie zachwycasz innych wzroku,
 Ale za to my cię bierzem
 Za współbrata ze łąką w oku.

Boś ty, ptaszku, został z nami,
 Boś współnikiem naszej doli,
 Boś nie szukał za górami
 Obcych skarbów, obcej roli.

Janina Feliksa.

NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Coś okropnego. Kuźnia. Rośliny włókniste.

Było południe, dzieci, powracając z pola, wchodziły do ogrodu przez furtkę—Adas

miał oczy zapłakane, a siostry starały się rozweselić go. Dochodziły do werendy, Zosia pobiegła do mamy, a Julcia została z Adasiem, wciąż go rozweselając opowiadaniem.

— Bo widzisz, Adasiu, ten skarb ukrywa się w dolinie, otoczony górami; chronią go dwa mosty zwodzone, ostrokoły, a z góry zasłania go las gęsty. Nikt się dostać do niego nie może; a jeśliby wpadł jaki przybysz, to jeszcze potoki wody słoneż zatopią go i wezbraną falą na zewnątrz wyrzucą.

— Co ty mu tam pleciesz—rzekł ojciec—który nadchodząc, część tego opowiadania usłyszał.

— Pro-pro-szę taty, ja opowiadam Adasiowi w poglądowy sposób o oku, powiekach, brwiach, łzach.

— I cóż z tego, kiedy on cię nie słucha. Co ci, Adasiu, ty płakałeś.

— Ja, tak, nie, płakałem; tylko mi tak żal było, że siostry kryły się przedemną i nie chciały mi pokazać, co robią.

— A coście wy robiły?

— My nic złego nie robiłyśmy.

— To czemużecie się kryły przed Adasiem?

Potem ojciec zawołał Julcię i Zosię do swego pokoju i tam dopiero rzecz się wyjaśniła. Chodził po pokoju rozgniewany, mówiąc:—Niedobre dzieci, niegodziwe dzieci, okrutne dziewczyny. Ale jakeście tę mysz złapały?

— Mysmy nie złapały—mówiła Zosia smutnie—tylko ona leżała nieżywa; pewnie ją pies zagryzł, bo w bliskości ziemia była rozkopana.

— I nacoście ją rozrywały?

— Bo chciałyśmy się przekonać—mówiła trochę śmielej Julcia—czy mysz, choć taka mała, ma płuca i wątrobę. A ja chciałam zobaczyć diafragmę.

— Co za diafragmę?—zawołał ojciec zniecierpliwiony.

— To jest, proszę taty—mówiła zalekniona Julcia—przepona, taka błona, oddzielająca klatkę piersiową od jamy brzusznej.

— No, to mów po polsku: chciałyśmy zobaczyć przeponę.

Już ojciec ułagodził się nieco, zwłaszcza że i samo przestępstwo dziewczynek nie było

tak wielkie; zachodziły tu dwie łagodzące okoliczności. Najprzód one nie zabijały myśli, tylko rozebrały ją już nieżywą; powtórę kryły się przed bratem, żeby nie zaszczeptać w nim okrucieństwa. Ojciec upominał dziewczynki i przeproszony przez nie, przebaczył; a na dowód zgody obiecał wycieczkę po obiedzie.

Zaniosły tę wiadomość Adasiowi; skuteczniejsza ona była, niż obrazowy opis oka, gdyż chłopiec zapominał smutku i wesoło zaczął uganiać się za motylami po ogrodzie.

Po obiedzie poszli wszyscy na drugi koniec wsi, jeszcze poza owe nowe budynki, do kowala; kuźnia różniła się od innych domów z daleka, bo dach jej był kryty, nie słomą, tylko deskami; było zresztą mały zakopcony, budynek o dużych drzwiach i o małym ciemnym otworze w ścianie, który widocznie zastępował okno. Sama kuźnia była na wzgórku. Przed nią leżały czarne węgle i żuźle; z wewnątrz dochodziły odgłosy uderzenia młota. Przed kuźnią stało kilku wieśniaków. Właśnie nasi znajomi byli już niedaleko, gdy z kuźni kowal i jego pomocnik wynieśli w obcęgach dużą obręcz, w jednym miejscu czerwoną i zaczęli ją wkładać na koło drewniane, pobijając młotkami; dym szedł do góry, koło przypaliło się od gorącego żelaza.

Tutaj mogły się dzieci przypatrzeć części składowym wozu, bo właśnie kowal zajmował się ich okuciem, już jedno półwozie było wykończone i stało pod ścianą, drugie zaś było rozebrane; dyszel, przymocowany w kierunku prostym do osi, leżał na ziemi, obok leżały dwa koła. Tu ojciec objaśnił dzieciom części składowe koła: środek koła stanowi piasta wydrążona na wylot, z grubszego jej końca rozchodzą się naokoło w promieniu szprychy; szprychy te wchodzi w obwód koła, który składa się z kilku pojedynczych części, nazwanych dzwonami; dzwona przystają do siebie ściśle, obejmując szprychy, obręcz żelazna obejmuje je z zewnątrz, zaciskając obwód koła.

W tej chwili wieśniacy złożyli i to drugie półwozie, wkładając koła na osie; właśnie osie przechodziły przez otwory w piastach.

Końce osi są dłuższe od piast, wystają na zewnątrz. Wieśniacy włożyli w otworek pionowy jednego i drugiego końca zatyczki żelazne, które się nazywają lonkami, a żeby koła z osi niespadały. Dzieci z niezwykłą uwagą przypatrywały się tym szczegółom, żałowały, że nie mogły widzieć, jak to kołodziej wyrabia koła, a zwłaszcza, jak piasty wyrabia, jak w nich otwory wydrąża, jak je obtacza z wierzchu; wyobrażały sobie, że kołodziej musi być niezwykły jakiś rzemieślnik, kiedy aż go Polacy na króla wybrali.

— Już wiem, już wiem teraz—wołała Julcia—dla czego pierwszy król polski nazywał się Piast.

— Dla czego? dla czego?—pytała Zosia.

— Dla tego, że piasty robił—odrzekła Julcia.

— Hm, wcale tego nie rozumiem—mruknęła Zosia—czując jeszcze do tego czasu urazę do Piasta, bo właśnie przez niego, czy tam przez jego lemesz, nauczyciel zepsuł był jej stopień z języka polskiego.

Weszli do kuźni. Tutaj było się czemu przypatrywać; miech kowalski sapał jak smok jaki, dmuchając na ognisko, na którym żarzyły się czerwone węgle. Wkrótce kowal wyjął obcęgami z pomiędzy węgla kawał rozpalonego czerwonego żelaza, położył je na kowadło i do spółki z pomocnikiem zaczęli bić je młotami. Iskry rozpryskiwały się gwałtownie za każdym uderzeniem. Ojciec wskazał dzieciom, gdzie mają stanąć, aby ich iskry nie dosięgały. Później kowal podszedł do ojca i uklonił się, mówiąc: „Nie mogłem wcześniej przywitać Pana, musiałem kuć żelazo póki gorące.“ Dzieci, a zwłaszcza Adaś, przestraszyły się, gdyż kowal ten był zupełnie prawie czarny i miał na sobie szkaradny skórzany fartuch.

— Patrz, patrz, to dyabeł—szeptała Julcia do Adasia.

— Patrz, patrz, to Wulkan—mówiła Zosia po cichu do Julci.

Kowal pozwolił, aby dzieci przyjrzały się wszystkim szczegółom w kuźni. Dziewczynki przyglądały się miechowi, a Adaś kowadłu; było ogromny kawał żelaza umocowany na dużym pieńku.

— Połóż się, Adasiu, na kowadło—mówi-

ły siostry—a my będziemy temi młotami kuć.

— Nie chcę być pomiędzy młotem i kowadłem—odrzekł Adaś.

Na tém zakończyła się wizyta u kowala. Wyszli przed kuźnię, ale zatrzymać się musieli, bo deszcz trochę padał, a przestać miał niezadługo, gdyż chmura przechodziła, a za nią wyjaśniało się niebo; promienie słońca już przedzierały się przez obłoki. Stanęli pod ścianą, patrząc na krople wody, które z dachu tuż obok ich stóp spadały rzędem.

— Patrz, Zosiu—rzekła Julcia—ten spadek wody nazywa się okapem.

— Właśnie że nie—rzekła Zosia—bo ten brzeg wystający dachu, pod którym stoimy, nazywa się okapem.

— Właśnie, że nie—odparła Julcia—okap to jest woda.

Wybiegła na deszcz, a potem stanęła pod owemi kroplami, spadającemi z dachu, mówiąc:—Trafiłam z deszczu pod okap.

— Nie sprzecajcie się—rzekł ojciec—i jedna i druga ma słuszość; okap znaczy brzeg dachu i znaczy także wodę, która z tego brzegu spada.

— Jak ja się nie mam sprzeczać—rzekła Zosia—kiedy Julcia i teraz nie ma słuszości: nie mówi się, trafić z deszczu pod okap, tylko trafić z deszczu pod rynnę.

— Jesteś w błędzie, moja córko, Julcia ma słuszość; kto chce mówić dobrze po polsku, powinien unikać obcych wyrazów, a co już w przysłowiach, to żadnego obcego wyrazu być nie powinno. Rynna, to nie jest polski wyraz, pochodzi z niemieckiego.

— A teraz możemy już wyjść z pod okapu—rzekła mama—bo deszcz już przeszedł.

Jakoż cała rodzina skierowała się ku domowi; tutaj wszczęły się dysputy o różnych rzemiosłach na wsi, o częściach wozu, o wyrobach kowalskich. Ojciec obiecał dzieciom pokazać na wozie fornalskim kłonicę, luśnię, kierownik i rozworę. Dziewczynki przypomniały ojcu, że jeszcze jednej obietnicy nie wykonał, a mianowicie: nie wytłumaczył o lnie i konopiach. Konopie rosły w ogrodzie i dzieci nieraz im się przypatrywały, len zaś widywały zaraz za wsią, za ogrodami. Teraz

lnu tego już nie było. Dzieci żałowały, że niebyły obecne przy jego żniwie.

— Co też wy pleciecie—odezwał się ojciec.—Lnu ani konopi się nie żnie, tylko wyrwa z ziemi z korzeniami. Pod wieczór, jak ze wszystkiem obeschnie, pójdziemy do konopi; przypatrzemy im się dobrze i tam wam powiem, co obiecałem powiedzieć o roślinach włóknistych, to jest o lnie i konopiach. Tymczasem jesteście wolne.

Dzieci uradowane rozbiegły się, każde w inną stronę, Julcia poszła do Kulawiny, aby jęj się wypytać, jak się len uprawia i obrabia.

— Ho! ho!—odpowiedziała kobieta—panienka chce się odrazu wszystkiego dowiedzieć, a to jest bardzo długa historia. Kobiety cały rok prawie nad lnem pracują: w lecie pielą go z chwastu, w lecie rwą, młóć, moczą i suszą; w jesieni miedlą, trą, trzepią; przez zimę przędą, a potem robią krosna (t. j. tkają); na wiosnę bielą płótno na murawie. Tu zaczęła opowiadać wszystkie szczegóły téj roboty: opisała, jak wyglądają krosna czyli staciwy, t. j. warsztat tkacki, opisała przyrządy do nawijania osnowy czyli postawu i sposoby wicia cewek na wątek. Wszystko to przeszło jak huragan przez głowę Julci; trudno jęj bowiem było rzecz zrozumieć, zapamiętać, skoro tych wszystkich przyrządów i operacyj nie widziała. Obiecywała sobie, że się więcej dowie od ojca. Tymczasem wzięła kawałek szmatki i zaczęła wyciągać z niej nici w taki sposób, jak się skubie szarpie; podziwiała sposób, jakim ludzie, i to jeszcze proste wiejskie kobiety mogą robić tkaninę, w której tak się regularnie nitki nawzajem przeplatają. Przypomniała sobie, że widziała w podobny sposób przetykane łyeczka i włosie w rzeszotach, to jest w przetakach i sitach.

Ucieszyła się bardzo, gdy już z ojcem i rodzeństwem dochodziła do konopi. Przeglądała się chciwie téj roślinie, prawie tak wysokie jak człowiek; nawet zapach ostry i nieprzyjemny nie odstręczał jęj teraz. Ojciec wyrwał parę łodyg suchych, tarł je w rękę, a pokruszone cząstki łodygi, czyli paździerz, sypały się jak plewy na ziemię; została tylko, sama skórka konopi.

— Oto macie włókno—rzekł—próbujcie teraz zerwać je.—Trzymał łodygi za jeden koniec, a dzieciom kazał jednocześnie ciągnąć za drugi. Wysiłki i szarpania nie nie pomogły.

— Patrzcie, jakie to mocne te konopie—mówił dalej.—A teraz może zrozumiecie, dla

zbędne w użyciu. Dawniej kobiety bardzo się zajmowały uprawą lnu i całe zimy trawiły przy kądzieli; obecnie mniej już się tęp zajmują, gdyż w fabrykach wyrobów lnianych robota wykonywa się pośpieszniej i dokładniej. Największa taka fabryka w naszym kraju jest w Żyrardowie.



czego to z konopi robią szpagat, liny okrętowe, płótno żaglowe; włókno konopi jest bardzo silne. Len podobne ma włókno, jest ono jednak delikatniejsze i mniej silne; użycie przecież lnu jest bez porównania powszechniejsze aniżeli konopi. Wyroby lniane są nam bardzo użyteczne i stały się dzisiaj nie-

— A proszę taty—rzekła Zosia—ja widziałam, że len ma główki w czubku; co one znaczą?

— W tych główkach są ziarenka płaskie, to jest siemien lniane, z niego wybijają olej; podobnie wybijają olej z siemienia konopnego.

— A sienie konopne dają także ptaszkom w klatce—wtrąciła żywo Julcia.

— Tak—odrzekł ojciec z uśmiechem—i nie potrzebują go już smarować masłem,

koronkach brabandzkich. Potém nauczał w następujący sposób:

— Po wymłóceniu lnu, to jest oddzieleniu od niego siemienia, moczą go długo



Wróbelek.

bo ma w sobie tustość, to jest olej.

Chodząc po ogrodzie, kazał ojciec dzieciom wyliczać różne wyroby lniane i ich przeznaczenie. Julcia wiedziała nawet coś o

w wodzie, tym sposobem łodyga odstaje od skórki, to jest od włókna; potém suszą go i wszelkimi sposobami starają się połamać, pokruszyć łodygę i oddzielić od włókna; do

tęgo też celu służy międlica i cierlica.

Właśnie skierowali się ku czworakom i tam poprosili jednej kobiety, która im te przyrządy pokazała; w nich łodyga lnu łamie się i kruszy na cząsteczki, które odpadają, nazywają się one paździerz. Miesiąc, w którym się najwięcej kobiety zajmują międleniem, nazwano właśnie od paździerzy, Październikiem.

— Nie dosyć na tём—mówił dalej ojciec—trzeba jeszcze ten len klepać, trzepać, aby się na cienkie włókienka porozdzielił. Następnie dopiero trzeba go czesać na osobnych żelaznych szczotkach; odchodzi włókno splątane, pomieszane z cząstkami paździerzy, są to pakuły; z nich wyrabia się grube ordynarne płótno, nazywane partem.

Len, tak wyczesany, da się dopiero prząść na cienkie nici. Garść lnu, wzięta do przędzenia, nazywa się kądzielą, w fabrykach są do tego bardzo ciekawe maszyny, nazwane przedziałnie; w domach kądziel przedzie się przy przęślicy na wrzecionach, albo, co częściej bywa, na kołowrotku.

Przędza, to jest nici, motają się na motowidle, a jeden motek przędzy nazywa się przedziona; z tych przedzion niektóre kobiety wyrabiają w domu płótno, niektóre zaś oddają je do tkacza, czyli jak mówią na wsi do płóciennika. Płótno surowe, niewarowe, jest koloru szarego, właśnie wasze sukienki z takiego są płótna. Jeżeli takie płótno rozpostrzeć na murawie i polewać wodą przez długi czas, to ono wybieleje, wyblechuje się. W fabrykach mają sposoby bielenia płótna w bardzo krótkim czasie. Gdy Pan Bóg pozwoli w przyszłości zwiedzać nam fabryki, wtedy przyjrzymy się najprzód tkackim fabrykom, dowiemy się bliżej o wyrobach bawełnianych, a także wełnianych i jedwabnych. Dosyć będzie na dzisiaj tej naszej nauki, słońce schyla się już ku zachodowi.

(d. c. n.)

PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

Piotr Jaksa Bykowski.

(Dalszy ciąg).

XV.

Otwarcie roku szkolnego.

Nadszedł ów dzień wielki, którego tak się obawiał p. Trusiewicz—od rana miasto całe przywdziało barwę uroczystą, wszyscy się ubrali po świątecznemu, nie wyjmując żydów, sklepy dobrowolnie, bez czyjegobądź rozkazu, pozamykano i przekupnie nie siedzieli w straganach. Nieświadom rzeczy odgadłby nawet, iż to jest uroczystość, nie tylko miasta, ale i kraju; tak to szkoła owa umiała uzyskać zaufanie, a złać się i zespolić ze wszystkimi warstwami społeczeństwa.

Uroczystość ta poczęła się z Bogiem, jak wówczas wszystko poczynano, przez solenne nabożeństwo w kościele Dominikanów i uroczyste modły do Ducha Św. z wezwaniem Jego pomocy i błogosławieństwa do przyszłych trudów.

Początku tego nie widziałem, gdyż panicze długo w noc bawiący się zaspali i dopiero mieliśmy się udać do sali na akt samotwarzenia; a była to podwójna uroczystość, bo razem inauguracya nowo zbudowanej sali bibliotecznej, którą po raz pierwszy na użytek publiczny oddawano. Była to wielkich rozmiarów, wysoka przez dwa piętra sala, do koła ścian miała 24 szaf dużych z książkami; naprzeciwko drzwi, na głównej ścianie był portret w całej postawie Cesarza Aleksandra I, a po bokach dwa mniejsze portrety w popiersiach: Tadeusza Czackiego, sławnego i niezapomnianego u nas krzewiciela oświaty, Onufrego Szczeniowskiego, dozorca honorowego szkoły winnickiej, oraz prawdziwego jej opiekuna i dobroczyńcy. Po środku stały ławy dla gości i uczniów, a naprzeciw nich w półkole były ustawione krzesła dla władzy szkolnej, duchowieństwa i przedniejszych dygnitarzy.

Trafiłiśmy właśnie na procesyą, która się odbywała z kościoła XX. Dominikanów do nowej sali gimnazjalnej: Uczniowie w mundurach nieśli chorągwie przed celebrującym, który postępował tylko z krzyżem, bez monstrancyi, pod baldachinem, niesionym przez obywateli i urzędników w mundurach, inni znów podobnie przybrani celebransa prowadzili, a otaczało go duchowieństwo obu zakonów, Dominikanów i Kapucynów, oraz liczne świeckie na ten akt uroczysty przybyłe, wszyscy śpiewali hymn o Duchu Św. „*Veni Creator.*“

Obrzęd poświęcenia nowej sali trwał niedługo, poczem X. dyrektor, złożywszy kościelne szaty, w krótkiej ale pięknej przemowie ozwał się do zgromadzonych, pochwalił dokonane prace roku minionego, obudził nadzieje powodzenia na rok rozpoczęty. X. dyrektor był człek piękny, wzrostu więcej niż średniego, poważnej postawy i miłego oblicza, w spojrzeniu miał tyle łagodności i tak coś pociągającego, iż zda się od jego oczu oderwać się było trudno, a w ogóle całém obejściem wzbudzał zaufanie.

Po dyrektorze miał krótką przemowę po łacinie p. Jagiełło, prof. starożytności i literatury łacińskiej i greckiej—przez cały czas tej mowy biedny mój Trusiewicz wznosił się na palcach, rósł widocznie, już nie tłukł, a tarł z lekka łysinę, co było u niego niezaprzeczoną oznaką zadowolenia—potem przemawiało kilku jeszcze uczniów w rozmaitych językach.

Po skończonych mowach, X. dyrektor oznajmił, iż rozpoczynają się egzamina wstępnych, a dodał w kilku słowach, to mniej więcej: „że władza szkolna, dowiedziawszy się o niezadowoleniu niektórych rodziców i skargach na to, jakoby synowie ich przez stronność i niechęć egzaminujących nie byli dopuszczani do klas stosownych ich uzdolnieniu, umyśliła, dla usunięcia tego, egzamin wstępnych odbyć w tym roku publicznie, a przez to obecnych uczynić niejako sędziami i tej czynności szkoły, która we wszystkim chciałaby działać zgodnie ze społeczeństwem, i światłemu jego sądowi zawsze się rada poddawać.“

Znajomi przystępowali do powitania X.

dyrektora, a między innymi i pani marszałkowa, która po stosownych komplementach i dygach rzekła:

— I ja będę miała zaszczyt powierzyć synów moich wysokiej opiece X. Dyrektora i nie wątpię, że zostaną przyjęci do klasy czwartej.

— I ja również, pani marszałkowo dobrodziejko, wątpić nie śmiem, że rada szkolna przychyli się do jój zdania i że wykształcenie synów szanownej pani dozwoli nam zadość uczynić jój życzeniom—odpowiedział X. dyrektor, ze zwykłą sobie uprzejmością światowego człowieka, którego takt z wysoką nauką łączył.

Nakoniec rada szkolna zasiadła na swoich miejscach, a był to isticie szanowny i poważny areopag, jaśniejący rozumem i statecznością:

Pierwsze miejsce zajął dozorca honorowy, Onufry Szczeniowski; był to mąż powszechnie ceniony, a od pierwszej młodości na usługi kraju wylany, starosta Trachtamirowski, poseł z województwa Braclawskiego na sejm czteroletni, nieusuwaający się przed żadną posługą, która krajowi i społeczeństwu pożytek niosła i dobro ich miała na celu. Przytém obok głębokiego rozumu i praktyczności posiadał dowcip żywy i humor niezrównany, umiał nieraz jednać sobie przez nie przychylnosc, lub w razie potrzeby i karcieć wady i usterki.

X. dyrektor Michał Maciejowski, mąż gruntownie w naukach wyćwiczony, biegłości niezrównanej złożył dowody, należał do grona nauczycieli, kierujących wychowaniem ówczesnego następcy, a dziś panującego króla pruskiego i sam zagranicą wykładów najświatlejszych mężów przez lat kilka słu chał.

Jan Miładowski, nauczyciel matematyki wyższej, oraz prefekt gimnazjum, Ignacy Jagiełło, znakomity łacinnik, Józef Uldynski biegły historyk, Jan Gwalbert Styczynski, profesor krasomówstwa i literatury.

Wszystko to ludzie, którzy nie tylko wielkie usługi krajowi oddali, wznosząc szkołę winnicką na wysoki stopień nauki, lecz nadto znani byli w świecie uczonym. Wielu tam jeszcze w tym gronie było ludzi pracujących

z gorliwością a pożytkiem, dla dobra téj szkoły.

XVI.

Najmniej spodziewane.

Mój maluczki pan jakoś stracił wiele na zwykłej fantazyi, tulił się do mnie, a drzącą rączką od siebie mię nie puszczał, aż mi szczerze żal było chłopaka. Dochodząc do gmachu szkolnego, chciałem pozostać, nie śmiejąc w liberyi wchodzić dalej, ale malec mię trzymał i nie puszczał od siebie; weszliśmy do sali, nikt mi ani słówka niepowiedział, bo drzwi nie pilnowano—obawiałem się stanąć przy tych ludziach w mundurach złotem haftowanych, lecz rozejrzawszy się do koła siebie, dostrzegłem tu dziwne pomieszanie stanów, pomiędzy gośćmi mieszały się proste siermięgi i dreluchy z sajetami i aksamitami. Drzwi szkoły stały szerokim otworem dla wszystkich, toć to była największa jéj zaleta; tu dopiero w czynie przyszły mi na myśl mądre słowa poczcziwego Illehorowicza: „nie suknia człowieka zdobi.“

Mój pan usiadł na ławce przy szafach, a ja się pomiędzy dwiema szafami przysłoniłem, nie mogąc dość się nadziwować wszystkiemu, na co patrzałem. Rozpoczęły się egzamina wstępujących, a była ich liczba dość pokaźna. Z kolei zawołano na środek Fonia, ten wyszedł z fanfaronadą, przerzucając się z nogi na nogę, a zapytany, bąkał, jąkał, a rzadko na które pytanie trafnie odpowiedział; nauczyciel francuzkiego języka pomówił z nim po francuzku, oddając sprawiedliwość dobrej jego wymowie i bardzo go prędko pozbyli. Uradowana matka posadziła go przy sobie.

Przychodziła kolej na mojego biednego Gucia. Skoro go powołano na środek, zmieształ się chłopczyna i drżał cały, chciał mię ciągnąć za sobą, ale się oparłem, bo dalej iść mi nie wypadało. X. dyrektor na wszystko uważny, a łagodny, począł go sam egzaminować, gładził po pięknej główce, dodawał odwagi, ale chłopiec mało się ośmielał, nakoniec jakoś doszedł do tego, że zaczął wypowiadać co umiał, a szło mu niezgorzej,

ciągle jednak ze zwyczaju na mnie się oglądał.

Wszakże gdy przyszło do arytmetyki, a stanął przy tablicy, zdobyta śmiałość opuściła go, zmieszał się i zamiast słuchać pytań nauczyciela, we mnie wzrok utkwiał. Tak mi się szczerze żal zrobiło chłopczyny, iż zapominając gdzie się znajduję, a jego kłopot mając na myśli, podpowiedziałem mu na głos z miejsca. Śmiech ogólny powstał w sali, wszystkie oczy na mnie się zwróciły—i już nie wiem, co się ze mną działo, bo byłbym się rad w téj chwili pod ziemię schował. Lecz gdy się to uciszyło, p. Szczeniowski powstał z miejsca, wziął mnie za rękę, a ciągnąc na środek sali, mówił:

— A chodź no tu, kozacze—matematyku, powiedz no nam, co wiesz.

Śmiech i szmer wszczęły się na nowo, tak iż X. dyrektor wlać się musiał dla przywrócenia spokojności, a p. Szczeniowski, trzymając mnie na środku pytał:

— A zkąd to jesteś, atamanie i jak się zowiesz?

— Jan * * — odpowiedziałem zamierającym głosem, dodając moję godność szlachecką.

— Czy nie syn Jana?

— Tak jest.

— A ojciec twój służywał wojskowo?

— Lat blisko trzydzieści, prawie do śmierci.

— Toż ci powiem, żeśmy kiedyś z ojcem twoim stali w jednych szeregach—a podnosząc mi głowę do góry i przypatrując mi się pilnie—nawet podobny jesteś do ojca nieboszczyka—wyrzekł rzecznym głosem, poczem przytuliwszy moję głowę do piersi, ucałował. Jakoś mi się śmieliej potem zrobiło. A śmiech w sali ustał.

Miałem sposobność przypatrywać się często temu zacnemu panu, a dziwnie on był popularny i wedle swojego usposobienia całe towarzystwo nastrajał. Dalej mię tedy pytał p. Szczeniowski:

— A u kogoż to teraz się znajdujesz?

Wymieniłem moich państwa, którzy oboje siedzieli na pierwszych miejscach tuż obok, a zaraz się do nich zwrócił p. Szczeniowski:

— A winszuję państwu marszałkostwu, że tak trafny strój wynaleźli dla szlacheckiego chłopca.

Pan marszałek zmieszany coś tam mruknął, a p. Szczeniowski, zwracając się do nauczyciela, egzaminującego mojego panicza, który na mój widok śmiałość odzyskał, i zadanie dobrze zakończył—rzekł wesoło:

— A weźno się, p. Komarnicki, do tego kozunia, bo z oczu mu patrzy, że coś tam wie.

Zadał mi kilka pytań profesor, a jakoś jedno trudniejsze od drugiego; ja ośmielony przez łaskawe obejście p. Szczeniowskiego, ożywiłem w pamięci ojca, dziadzio zaś stanął mi przed oczyma dziwnie wesoły i uśmiechnięty, z palcem na ustach, a tak mi to wszystko dodało animuszu, że pozbył wszelkiej trwogi i nie zważając, że tyle oczu na mnie patrzy, odpowiadałem śmiało a wyraźnie na wszystko, o co mię pytano; z daleka tylko dojrzałem, że pocziwa łysina p. Trusiewicza była w robocie.

Aż wysunął się drugi z kolei profesor Jurkowski, dalejże do łaciny, jał mię mace rować na wszystkie strony, mnie już i miłość własna łechtać poczęła, bo nie mogłem nie dojrzeć tego, że stałem się celem podziwu i uwagę wszystkich na siebie zwróciłem.

— A no, kozacze, kiedyś taki mądry, przedeklinujże mi: *Gallus cantans, per arborem saltans, dulcia poma comedens, cucuricu faciens*.

Zawołałem jednymtchem: —Drugi przypadek „*Galli cantantis, per arborem saltantis, dulcia poma comedentis cucuricu facientis*” (1) i dalej zmieniałem przez wszystkie przypadki.

Był to stary figiel nauczycielski, na który niewprawny w deklinacye od razu się pojął—bywało więcć takich frazesów, datujących jeszcze od szkół jezuickich, do wprawiania uczniów w deklinacyę—ja się przy-

(1) To znaczy dosłownie: „Kogut śpiewający, przez drzewo skaczący, słodkie jabłka spożywający, kukuriku czyniący (krzyczący).” Radzimy naszym czytelnikom, uczącym się po łacinie, odmienić ten frazes przez wszystkie przypadki obu liczb—przez co się można wprawić w deklinacyę.

(Przyp. aut.)

znaję, że go jeszcze umiał od dziadzi—bo inaczej możebym z nim sobie prędko nieporadził.

Obracali mię na wszystkie strony—wszyscy prawie nauczyciele. Aż X. dyrektor wdał się i rzekł żartobliwie:

— Dość już, panowie, zamęczycie atamana, a przecie inni czekają—a kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł łaskawie:

— Ano, chłopcze, chcesz być w szkołach?

Zdawało mi się zrazu, że nierozumiałem co mówił X. dyrektor, tak mi się niewłaściwem zdawało, że bym ja biedny śmiał kiedy marzyć o szkole—nie wiedziałem, co mam na to powiedzieć i ucałowałem X. dyrektora w rękę.

— Ale nie odpowiedziałeś na pytanie—wtrącił X. dyrektor łagodnie.

— Biedny jestem—rzekłem ze łzami.

— Więc cóż z tego? tak dzielnie odpowiadałeś, a na końcuś się zbajał, moje dziecko; a dla kogoż to szkoła, jeśli nie dla wszystkich. Wszakże Stwórca wszechmogący zarówno tchnął rozum w każdą głowę, ubogą czy bogatą, a powinnością jest ludzi dar ten pielęgnować, aby wydał na chwałę Boską i pożytek ludzki owoce. Kościół i szkoła, mój synu, to dobro ogółu!

Brzęczenia muchy dosłyszałbys w tej chwili, tak wszyscy wyteżyli słuch na mowę X. dyrektora; ten mądry człowiek mów długich nie prawił, słów nietrwonił, lecz przy zdarzonej okazji w krótkiej treści zawsze zawarł wiele mądrości.

— Siadźże tu teraz pomiędzy przyjętymi, niech cię Bóg błogosławi, chłopcze, a nagrodzi setnie tym, którzy ci dali naukę.

Ucałowałem jeszcze raz zacne ręce X. dyrektora, który mię w głowę pocałował i skierowałem się ku wskazanej ławce, ale usiąść nie śmiałem przy moich paniczach, którzy tam siedzieli. Pocziwy Guccio usunął się dla zrobienia mi miejsca, a sadzając przy sobie, szepnął z uczuciem:

— Jasiu, ty już nie mój sługa, ale kolega, będę cię mógł całować przy wszystkich.

Pocziwy to był chłopak, a zawsze żałowałem, żeśmy się rozłączyli.

Daliej odbywały się egzamina—ja dotąd

mający jakieś dzikie pojęcia o szkole, odrzuć się ośmieliłem i na szkołę patrzałem, jakby na wielką rodzinę, spokrewniającą ze sobą rozmaite stany.

Na stole leżała księga, w którą wpisywano imiona egzaminowanych, a każdy z nauczycieli zaznaczał w niej swoje zdanie. Po ukończonych egzaminach, X. dyrektor z p. prefektem, przejrzawszy tę księgę, coś tam notowali, a nakoniec ten ostatni, wszedłszy na katedrę, głośno odczytał listę przyjętych.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Pies Newtona. Znakomity angielski uczony, Newton, miał ulubionego pieska, którego trzymał zawsze w swojej pracowni. Wesołość tego zwierzątka, jego figle, były dla wielkiego myśliciela przyjemną rozrywką w chwilach odpoczynku. O pracach i odkryciach Newtona dowiecie się kiedyś więcej, tymczasem powiemy wam tylko, że on to pierwszy objaśnił ważne prawo przyrody, zwane ciążeniem powszechnem; doszedł bowiem za pomocą rozumowania i obliczeń matematycznych, że wszystkie ciała przyciągają się wzajemnie, stosownie do swęj objętości. Tym sposobem słońce trzyma niejako na uwięzi naszą ziemię i inne planety, ziemia tak samo znów trzyma przy sobie księżyc, a wszystkie drobniejsze ciała tak silnie są przez nią przyciągane, że szybko na jej powierzchnię spadają. Nie będziemy się tu rozwodzić nad prawem ciążenia, chcieliśmy wam tylko dać wyobrażenie, jakie to wielkie i trudne zadania zajmowały umysł Newtona w jego pracowni.

Pewnego razu, a był to wieczór zimowy, na stole świeca się paliła, znakomity nasz uczony wykończył właśnie jakieś obliczenia, nad którymi pracował od lat pięciu, wysilając wszystkie zdolności głębokiego swojego umysłu. Chwila to była wielkiego tryumfu. Newton powstał od stolika z głową pałającą, odetchnął i zbliżył się do otwartego

okna, ażeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mędrzec nie pysznił się bynajmniej dokonanem dziełem, wznioślejsze go przejmowały myśli, z rozjaśnionem czołem, z oczyma wpatrzonemi w niebo, mówił on w głębi duszy:

— Chwała ci, o Boże, któryś jeden jest mądry, wielki i potężny; bez ciebie wszelka siła jest słabością, wszelkie światło ciemnością.

A gdy tak wpatrywał się w ciała niebieskie, lśniące na błękitach i śledził myślą, prawa, kierujące ich biegiem, mały piesek, rozpieszczony Dyament, wskoczył na stół i ze swawoli wywrócił świecę zapaloną. W jednej chwili spłonęły na stole wszystkie papiery, a pomiędzy niemi i świeżo ukończone dzieło, owe ważne obliczenia matematyczne. Newton obejrzał się, spostrzegł co się stało, ale nie było już żadnego ratunku, z długiej, mozolnej jego pracy, pozostała tylko garstka popiołów.

— O, Dyamencie—zawołał—nie wiesz, jaką mi krzywdę wyrządziłeś.

I na tém koniec, nawet czoło jego się nie zachmurzyło; ugasiwszy resztki płomieni na stole, powrócił do okna i z rezygnacją znów mówił:

— Panie, który kierujesz biegiem gwiazd i drogi ich wyznaczasz w przestrzeni, niech wola twoja spełnia się na ziemi, tak jak i na niebie, błogosław pracy służy twojego; on gotów rozpocząć ją na nowo przy pomocy twęj łaski.

Jakaż to dla nas nauka, jaki przykład cierpliwości i mocy nad sobą.

Gra towarzyska.

Wędrowny kupiec.

Dzieci! dzieci! idzie podróżny kupiec, pozwałam wam kupować od niego co tylko zechcecie, ale trzeba dobrze uważać, z kąd on idzie i co z sobą w torbie nosić może, bo jak o co innego będziecie się pytać, a nie o to, co z tamtego kraju pochodzi, to zapłacicie fant—słuchajcie więc dobrze, co on mówi:

Kupiec.

Z Kairu kupiec wędrowny
Przynosi towar cudowny;
Piękne panie przybywajcie
I panowie oglądajcie.
Stron tamtejszych są to dary,
Bogactwa, skarby bez miary.

Przyjmuję zamianę
Na tutejsze płody,
Tam wcale nieznane
Błyskotki i mody...

Otaczają wszyscy handlarza, zaczynają się targi, kupno, sprzedaż i różne zamiany, ale się pilnować trzeba, kupiec tylko ze swego kraju przywiózł płody i o miejscowe się pyta, ktokolwiek się pomyli, daje fant. Trzeba także pilnować się mniej więcej, żeby oznaczać wartość możliwą różnych przedmiotów i nie przeceniać ich, żeby dzieci znały ceny prawdopodobne każdego przedmiotu. Przytém pamiętać dobrze—co się znajduje w Królestwie Polskiem, jakie są fabryki i płody krajowe, żeby je handlarzowi przedstawiać i zachwalać. Można wprowadzać zarówno do tej gry wyroby angielskie, paryżkie, berlińskie—wynalazki, bogactwa, fabryki tych krajów; zacząć od Europy, wszystkie przejść kraje i miejscowości znane, i mniej znane.

Później przechodzić do dalszych części świata, handlarz z za morza przynosić będzie bogactwa i nas z nienii zapoznawać.

Z początku będą się sypały fanty, starsza osoba powinna przybierać rolę kupca, ale i on, jak się trzy razy omyli, odbierają mu torbę, mówiąc, że nieuczciwy, chce pewnie oszukiwać i nie przybywa z tych stron, z których mieni się być rodem.

Druga osoba go zastępuje, i już z kądiną przybywa, zmieniając tylko nazwisko w pierwszym wierszu swojej odezwy.

Kupiec zaś powinien pilnować dzieci—i zbierać od nich fanty.

Później, jak dzieci się wprawia do tej zabawy tak dla nich korzystnej, dobrzeby zwrócić ich uwagę, na różnicę monet przy kupowaniu, na różnicę miary, wagi, a tym sposobem obznajomią się z tém wszystkiem,

co jest teraz tak pożyteczne dla każdego, przy terażniejszej łatwości przenoszenia się kolejami i statkami z kraju do kraju.

cież	wie	ni	po	z	wa	ni	z
ta	wa	ta	świe	dy	smu	ni	i
py	ta	nie	pi	ko	ka	sie	gna
ne	ak	ci	co				mat
lu	ta	za	czuć	gdy	po	wo	cie
ta	czy	ci	ja	ni	mat	wia	co
co	ne	lza	ki	zy	ro	rzu	ach
atko	czy	niał	dzie	ni	mat	nie	zma

Zagadka.

Ile ziarn grochu wechodzi do garnka?

Zamigłówka zgłoskowa.

Z następujących zgłosek: bit—bul—ce—da—e—e—i—i—ir—ka—li—lee—ly—no—no—pe—pos—ra—ri—ti—taf—wa—vo—ze—ułożyć 11 wyrazów, jak następuje:

1) Przedmieście w Konstantynopolu, 2) Miasto na Syberji, sławne z jarmarków, 3) Rodzaj poematu, 4) Miasto we Włoszech, 5) Miasto i prowincya w Azji, 6) Góra na wyspie, 7) Pseudonim poety polskiego, 8) Ważna część parowych machin, 9) Rzeka w Grecyi, 10) Grobowiec starożytnych Greków, 11) Nuncyusz papieżki w Polsce. Pierwsze litery, od góry do dołu, utworzą nazwisko współczesnego pisarza polskiego, piszącego często pod pseudonimem; ostatnie, tytuł jednej z najpiękniejszych jego powieści.

Rozwiązania do N-ru 44.

Łamigłównki liczbowej:

W a l e n r o d.

Len
Lew
Nora
Wrona
Ren
Rodan
Rola
Rondel
Woda
Don
Ale
Arno.

Łamigłównki zgłoskowej:

Marchew
Onega
Nawał
Ibis
Uri
Salomon
Zenobia
Krawat
Owies.

Moniuszko—Stanisław.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni Bar w Fermie Ostrowiec. Przepraszamy najmocniej za opóźnienie odpowiedzi. Pismo nasze musi się drukować wcześniej, ażeby wszyscy czytelnicy w porę je odebrać mogli. Najczęściej też jest już na prasie, kiedy nadchodzą liściki z prośbą o jaknajśpieszniejszą odpowiedź, a my dopiero za tydzień odpowiedzielić możemy. Atlas geograficzny Kozenna, niedawno wydany w języku polskim, jest bardzo dokładny; kosztuje rs. 3. Wszelkie książki na żądanie wysyłamy niezwłocznie przez księgarnię Gebethnera i Wolffa.

Jadzi i Helence H. Na liścik otrzymany przed tygodniem, odpowiedzieliśmy w Nrze 45 Wieczorów Rodzin-

nych. Szkoda, że kochane dziewczątka nie napisały wyraźniej, które opowiadania w Piśmie naszym wydały im się za trudne. Musimy się stosować do potrzeb wszystkich naszych czytelników, starszych i młodszych, ale o młodszych przecież nie zapominamy. Przed Nowym Rokiem chcemy pokończyć rozpoczęte dłuższe powieści i opowiadania, nie możemy więc dla braku miejsca zamieszczać w każdym Nrze Pisma krótszych i zabawniejszych rzeczy, które muszą czekać kolei; ale przyjdzie czas i na nie, a kochanych czytelników o cierpliwość prosimy.

Wit. P. Trafne rozwiązanie obu łamigłówek odczytaliśmy z przyjemnością, ale czemuż liścik nic więcej nie zawiera? A nam tak miło dowiedzieć się wprost od czytelników, co im się w Piśmie naszym podobało; tym tylko sposobem możemy coraz większych starań dokładać, aby ich zadowolnić, a to jest jedyne pragnienie nasze.

Stasi Mich. Liścik pocziwy i serdeczny niezmiernie nas rozrzewnił; szczerość i ufność młodziutkiej korespondentki zjednały jej nie tylko współczucie nasze, ale i szacunek prawdziwy. Kto tak zacnie i szlachetnie umie pojmować obowiązki swoje, ten je niezawodnie spełnić potrafi, pomimo najszkodliwszych wpływów przeciwnych. My też ze swej strony gotowi jesteśmy wesprzeć tak dobre chęci radą i wszelką moralną pomocą. Wziąwszy na uwagę wszystkie okoliczności wspomniane w liście, mamy najmocniejsze przekonanie, że przerwa w naukach, spowodowana, nie lenistwem, ale obawą o nadwątlone zdrowie, na dobre tylko wyjść może pod każdym względem. Panićka w tym wieku jest już w stanie z wielkim pożytkiem sama nad sobą pracować. Wszelkie zlecenia naszych prenumeratorów, wskazówki stosownych książek, a nawet ich przysyłkę, najchętniej zawsze załatwiamy. Tymczasem donosimy, że *Wieczory w Ojcowie*, *Historja Polska* przystępna dla młodego wieku, kosztuje bez oprawy 1 rs., w oprawie 1 rs. 50 kop. *Gramatyka polska* *Kamockiej* kosztuje 60 kop. *Boczylińskiego* w dwóch częściach, 1 rs. 5 kop.

Maniusi i Janince G. Rozwiązanie łamigłówek trafne i liścik bardzo starannie napisany. Ale my jesteśmy bardzo domyślni i dopatrzyliśmy, że w pierwszym wyrazie liściku jedna litera została wytarta gumą i zastąpiona drugą, a niesłusznie, bo wyraz ten pisze się przez y, nie przez e.

Pani W. w Polelum. Opiekun Domowy przestał wychodzić, a z wydawnictw zapowiedzianych przez redakcyą tego pisma, wymienionych przez panią, wyszła tylko książeczka: *Pierwsze praktyczne zaznajomienie się ze światem zwierzęcy*, kosztuje 50 kop. *Historja czasów najnowszych*, *Maryana Dubieckiego*, kosztuje 2 rs.

Treść.—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem).—Wróblek (wiersz), z drzeworytem, przez Janinę Felię. —Na letnisku mieszkaniu, przez Wł. Nowickiego, (z drzeworytami), (ciąg dalszy). —Pamiętniki Jasia, przez Piotra Jakę Bykowskiego, (ciąg dalszy). —Rozmaitości. —Gra towarzyska. —Łamigłównki. —Rozwiązania. —Odpowiedzi od Redakcyi. —W dodatku dalszy ciąg *Historji Biblijnej*, przez Z. Zajączkowską.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Октября 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.